ROZMAITOŚCI.

Dnia 12 kwietnia, Nr. 15. roku 1845.

Mania Multanka. *)

WSPOMNIENIE CZUMACKIE **), PRZEZ A. W. D.

Późna już była jesień, po kumyszach ***) paszy mało. Czumakowi naprawdę dojadała biéda. Chlupał się po błocie na dészczu, szarudze; woły pochudził, poharował; ze sławnych rogaczów suche szczépki — jakby je upiór pozsysał — błędnym cieniem, marami mogilnemi tumaniły po stepie. Czumak klął, przeklinał, diabłu oddawał za pieniądze, a taki żal mu było swojéj chudoby. Szedł powoli, nudził sam sobą, ani jadł, ani spał, jedno turbował a turbował.

Za dnia jeszcze stanęliśmy na nocleg. Step był nie tak przybity, a opodal na mokrawinie zieleniała siérota lewada****). Po jednéj stronie kryniczysko, po drugiéj krąglak bajraku *****): woda hoża, łomu dosyta, i czegoż szukać na resztę?

Wieczór zapadł, księżyc w pełni zeszedł na niebo, na bożym stepie choć szpilki zbiérać, tak jasno. A u Czumaków smutne twarze, chmurne czoła, nie słychać dumek ni pieśni. Kiedy niekiedy czarka brzęknie w obiegu, piją gorzałkę, nie na zdrowie, na frasunek; to też gorzka jak piołun, a powieści Czumaków nie wesołe.

»Ho, ho, słyszycie?« krzyknął Tereń Majduda, i przerwał powieść Kuciurupie, a w stepie cicho i głucho, tylko czasami wiatr powiéwa, poświstuje, i leśny puhacz od bajraku jak diabeł się ryhocze. Zdawało się przez chwilę, że stary Czumak już tak uszy opuścił, że słyszał czego nie słychać.

A daléj: skrzyp, skrzyp, i coraz wyżéj to głośniéj, i już czernieją wysokie kolasy, i głosy ludzkie z podmuchem zanoszą.

»To pastna czereda;« powiedział Klim Budżacki.

»Z ojca Biésa, po cygańskiéj maciérzy, a któż jak nie oni, wraże syny Mołdowanie?« ozwał się ktoś drugi.

Starszy prowodyr klasnął długą fandą na wysokiéj puże *); tabor zjechał ze stoku. Wóz za wozem rozłożył się przestrono, przeciw naszego obozu.

Długo się krzątali, gwarzyli, rozpinali szare szatry, i dwóch Mołdawców w białych opończach, w kudłatych czapkach, przyszło do ogniska. Jeden usiadł przy niém spokojnie, drugi wyciągnął żarzącą głownię, strzepnął z płomienia, i wrócił do swoich.

Spojrzeli po sobie Czumacy, o nowego sąsiada pytali oczyma ciekawie. Mołdowan swoje wytrzészczył na ogień, nałożył lulkę z rzemiennego hamańca, zakurzył swój tytuń, i siedział nieruchomy.

»Mów daléj;« rzekł po chwili Majduda. »Jak z nim, tak bez niego.« I Kuciurupa ciągnął zaczętą powieść. Potém inni mó-

---

*) Wyimek z Biblijoteki Warszawskiéj.

**) Pod nazwiskiem Czumak, rozumié się człowiek zajmujący się przewózką pszenicy i innych płodów prowincyj rolniczych do portów morza czarnego, najczęściej Odessy, a soli i więdłéj ryby z nadmorskich okolic, w rolnicze prowincyje Rusi.

***) *Kumysze.* Tak nazywają zarosle burzanu w tutejszych stepach.

****) *Lewada.* Oaza na jałowym i bezwodnym stepie.

*****) *Bajrak.* Krzaki lub karłowe drzewa.

*) *Fanda* i *puha.* Batóg i biczysko ogromne i niezgrabne, jakich używają Mołdowanie. *Karausze. Karuce.* Wozy wielkie, małe.

wili. Ot, aby skrócić noc nieprzespaną i zbałamucić kłopoty.

Mołdowan milczał, na pierś obrosłą zwiesił głowę, niby słuchał, niby nie słuchał, a zpodełba, ukradkiem zérkał wilczém okiem to w lewo, to w prawo.

Skończył Kassian Narożny. I był chwilowy przestanek. Majduda pociągnął Mołdowana za kraj opończy: »Na was koléj, jeżeli wola. Mołdowan uchylił czapki, pokłonił się dokoła, podparł głowę na ramieniu, i tak powiadać zaczął.

*

»Nad Prutem, siną wodą, żyli dwaj hajdaje: Hryhor i Dymetry, drużba sobie rodzona. Od maleńkiego wyrastali razem, aż też wyrośli chłop w chłopa, jak Bukowińskie dęby, a Hryhor dzieckiem z Rusi był przywiedzion.

Dobrze im się działo. Bojar ubiérał strojno i płacił sowito. Kraj był piękny, bogaty, sioła białe, dziéwki krasne, motorne, a ludzie wszyscy serdeczni. Tak przynajmniéj oni rozumieli, bo byli młodzi, a młodemu na świecie nie licho.

Wiele lat przebyli z sobą, pobratał się jeden z drugim, jakby rodzeni. Nie było komu się swarzyć, chłopcy dowodni oba. Hryhor dzikiego źrebca za uszy z tabunu wywlekał, Dymetry siwego wilka uganiał na stepie, wiązał uzdą jak cielaka i przynosił na baranach *). To też nie swarzyli się nigdy.

A jednak stara znachorka, baba Szandrycha przestrzegała syna: »Pilnuj Hryhory Wołoskiéj zdrady.« I na fasoli wróżyła, i głową kiwała, i szeptała, i odszeptać nie mogła.

Hryhor matkę szanował, w gusła babskie nie wierzył, a przyjaciela lubił po staremu, choć on Wołoszyn. Macierz płakała, Hryhor nie wiedział; macierz kazała, Hryhor nie słuchał. A kto nie słucha ojca, matki, posłucha starego diabła.«

*

Mołdowan przerwał, wygarnął węgla, rozpalił lulkę, i ciągnął daléj.

*

»Była siérota, wdowy córka Mania, dziéwczę ubogie, ale gładkie i czarnobrewe, a miała oczy sine, jak Prut, a takie głębokie, że kiedy spojrzysz, to tak, jak w bezdeń, lecisz ze swojemi.

Matkę jéj wdową, ojciec odumarł w bogactwie, ale zły bojar z dobytku zagrabił, i z chaty wygnał. I ona poszła do Multan, zabrawszy Manię dzieckiem. I ślad przepadł i słuch zaginął, żadnéj wieści nie było, ludzie zapomnieli czy były kiedy.

A jak wróciły, nikt nie poznał ani baby, ani dziéwki. Wróciły jakoś pod praźnik.

Na praźniku, jak Hryhor Manię zobaczył, zaprzepaściła go oczyma. Kto gdzie, a Hryhor koło Multanki, przystępu nikomu nie daje. Parobki ją do tańca, a Hryhor do siebie. Z przymówek do poswarku. Hryhor buczki potrzaskał, łby porozwalał. Jak się zabrali z Dymetrym, cała gromada rady dać nie mogła.

Starzy ludzie dobrémi słowami uchodzili Hryhora. Podobrzał, 60 lewów wysypał, winem, wódką uczęstował, cyganowi skrzypkę zapłacił, pogodził się pięknie i cicho.

Nikt Multanki zaczépiać nie śmiał. Hryhor nie zaczépiał nikogo. Minął praźnik, minęło parę miesięcy. Dymetry przy tabunie i dniuje i nocuje, a Hryhora do Mani przykuło krótkim łańcuchem.

Jednego poranku, słonko już było wysoko. Hryhor tylko co wrócił. U Mani przebawił noc całą. Tabun wronych koni wesoło hasa, podskakuje; Dymetry zhukane źrebce zagania, a Hryhor, siodło pod głowę, blizko kurzenia *) jak legł, tak zasnął.

Przespał białą chwilkę. Ażci go budzi Dymetry. Hryhor wstaje. Kłębi kurzawa po szlaku, tętni ziemia od sioła. Jak błyskawica bojar koniem naskoczył, a za nim cygan Arnauta i jakiś Lach szlachcionko, gdzieś zza Dniestru, z Pobereża.

Jeździli, przeglądali po tabunie. A potém szlachcionko trzos z siebie odpasał. Długo liczył, przebiérał czerwońce, z bojarem umawiał. Jak wszystkie wyliczył, ręka w rękę, targ przebili. Bojar zagarnął trzy garście złota, Arnaucie w połę

*) *Na baranach*. Na barkach.

*) *Kurzeń*. Buda lub licha chata, na stępie dla pasterzy, w lesie lub pod lasem dla gajowych.

odsypał, życzył szczęścia Lachowi, a Hryhorowi odwieść tabun rozkazał.

Hryhory pobladł jak chusta, chciał coś powiedzieć, bojar wzrok orli wypatrzył, palcem pogroził, zawrócił konia i pobiegł stepem do domu. I cygan Arnauta i Lach szlachcionko za nim. Hryhor i Dymetry zostali sami.

»Ja nie pojadę,« powiada Hryhor. — »Nie można;« prawi Dymetry. I zaczął Hryhoremu przekładać. Rok nieskończony, bojar nie odpuści, na Multance się pomści, za włóczęgę pokarze. Bez bojara ksiądz ślubu nie da, bez księdza ślubu nie będzie. Lepiéj złemu wrzodowi dogodzić, trochę przeciérpieć, aby potemu nie żaléć...«

*

Mołdowan przerwał, nakładał lulkę powoli, zdawał się dumać. I dobra chwila minęła nim znowu zaczął.

*

»Nazajutrz Hryhor pojechał. Mania całą noc płakała. Kiedy się z nią żegnał, przysięgała tak strasznie, że zgroza było słuchać, a większa jeszcze nie wierzyć.

Kiedy się żegnał z Dymetrym, dwie łzy na ruse wąsy spłynęły. Hryhor się zaśmiał, i druha babą nazywał. Pocałował matkę ziemię, krzyż na piersiach położył, objechał tabun dokoła, roztworzył koszarę, klasnął, i ruszył z kopyta. A tabun za nim. Pogonili po stepie.

*

Mijały dni długie, jak lata. Hryhora nie widać. Jak odwodził tabun do Lacha, zdawało mu się, że już tak daleko zajechał, aż na świata skraisko. A Lach daléj jeszcze odwodził, i odprawy nie dawał. Hryhor prosił, Lach nie słuchał. Hryhor tęsknił, bolał, aż nareszcie zachorzał, i Lach go porzucił.

Jak Lacha nie stało, Hryhor nie obziérał się długo. Tyle go ludzie i widzieli. Dniem i nocą, drogi nie pytał, po gwiazdach, po sercu trafiał, bez przewodnika biegł prosto, i szlaku nie zwykł.

Siódméj doby, jak raz w sześć niedziel, bo Lach ruski miesiąc przetrzymał. Noc była jasną, jak dzisiaj. Hryhor powrócił na step do kurzenia. Kurzeń był pusty, koszara rozebrana, Dymetra nie było. Siry wilk włóczył się swobodnie, wył, powywał do księżyca. Hryhor jechał do sioła.

Na rozstajnych, dwie drogi się zbiegało, stała figura. Hryhor się zadumał, koń biegł prędko; nagle w bok uskoczył, na miejscu się osadził. Hryhor spojrzał, obaczył figurę, i nic więcéj nie widział, a koń drżał jak listek. Hryhor przeżegnał się trzy razy, i jechał daléj. Spłoszone stado kruków zaszełeptało skrzydłami. Hryhor splunął trzy razy, i jechał daléj.

Już wjechał w sioło. Naród boży spoczywa, ciemno dokoła. Tylko jedno światełko błyszczy na samym końcu, tak jakby w Mani komorném. Hryhora zanudziło koło serca. Do matki ulica na prawo, do Dymetra na lewo, Hryhor pojechał prosto. Jak się przybliżył, dobrze rozpoznał między chatami, zostawił konia, wyciągnął kół z płota, i poszedł cicho pod okno.

Dymetry i Mania siedzieli obok siebie. Hryhor zapukał w szybę: »Czy żyjesz, Mania?« Mania krzyknęła i padła. Światło zagasło. Dymetry wściekły wyskoczył, oczy jak kagańce i nóż ostro zaświécił. Wszystko znikło w cieniu chaty. I cicho dokoła.«

*

»A ha!« powiedzieli Czumacy. Mołdowan zamilkł. Przy końcu powieści twarz jego grała dziwnym wyrazem, głos wolny, przerywany, rozchwiał się w męzkim dźwięku, jak twarda nuta u wtóru serdecznéj pieśni, i zdawał się zdradzać głębokie, niezmyślone uczucie. Przetarł oczy széroką dłonią, rozmarszczył szérokie czoło. I płomień ogniska oświécił blade źwierciadło duszy, jałowe, nieme, nieczułe, bez pamiątek i bez zapomnienia.

*

»A dziewczyna? A Dymetry?...« spytał Klim Budżacki.

»Nad rankiem,« odparł Mołdowan, »krasna katanka po Prucie pływała. Rybacy gonili, łowili i ułowili Manię.

Nad rankiem na środku sioła, Dymetry związany jak baran, na żurawiu od studni wisiał za szyję arkanem. Dyszał jeszcze, harkotał, harkotał. A ludziom się zdawało, że on powiada: »Hrykory, Hry-

*

hory!« Nim go odciąć pośpieszyli, skonał na powrozie.

Ksiądz studnię święcił na nowo, baba zamawiała. Za Hryhorem pytano, szukano, ale Hryhora nie było.«

»To żyje Hryhor?« zapytał Kassian Narożny.

»Żyje, pana Boga chwali, grzéchy swoje spowiada, i dobrych ludzi na pogrzeb zaprasza.«

Mołdowan uchylił czapki i pokłonił się dokoła, powstał i odszedł.

Czumacy spojrzeli po sobie. — »Diabeł go wié!...« ozwał się Kuciurupa. — »A ha!« powiedzieli drudzy.

To ja lubię!

przez Józefa Brykalskiego.

Kiedy piękny dzionek w Maju
Zielonością bawi drzew,
A słowiczek w ciemnym gaju
Swój przyjemnie nóci śpiew. — To ja lubię!
Wtenczas z łąki zbierać kwiaty,
Co zasiała Flory dłoń,
Lub też w życie rwać bławaty,
I kochanki zdobić skroń. — To ja lubię!
Kiedy księżyc blaskiem swoim
W nocy śrebrzy drzewa liść,
A ja z przyjacielem moim,
Na przechadzkę mamy iść. — To ja lubię!
Lub z kochanką w jéj ogrodzie
Sam na sam przepędzać czas,
I z nią bawić w miłym chłodzie,
Aż jutrzenka zdybie nas. — To ja lubię!
Tę kochankę miéć za żonę,
Przytém i dziedziczną włość;
Zdrowie nienadwerężone
I pieniędzy w worku dość. — To ja lubię!
Dziatki dobre, tych nie wiele;
Czyliż mi to zgani kto?
A więc mogę wyrzec śmiele
I powtórzyć jeszcze to: — To ja lubię!
Wtenczas mając na téj ziemi
Wszystko—, o cóż jeszcze dbać?
Siedzieć przyjaciołmi swemi
I wiseczka sobie grać. — To ja lubię!

Adjutant jenerała Santa-Anna.

Mexyk jest może jedynym jeszcze krajem, który ciekawemu podróżnikowi, szukającemu romantycznych przygód, obfitą do tego sposobność nastręcza. Przygody, jakie się niegdyś w górach Sierra-Morena i Apenninach zdarzały, utrzymały się jeszcze równie na przedmieściach stolicy mexykańskiéj, jak i w lasach Vera-kruz. Mord i rozbój mają w tych stronach uroczą, poetyczną barwę. Tamto jeszcze znajdnją się pod dowództwem słynnych awanturników liczne po wojskowemu uorganizowane bandy zbójeckie, do których należą najznakomitsze osoby kraju, a którym tameczny niedołężny rząd żadnéj nie stawi zapory.

W pierwszych dniach kwietnia roku 183* wybierał się pan L*, jeden z najbogatszych kupców Mexyku, dla załatwienia niektórych familijnych sprawunków, najprzód do Vera-kruz, a ztamtąd do Europy. W tym celu udał się do jenerała Santa Anna, który natenczas stał u steru mexykańskiego rządu. Wprowadzono go natychmiast do jenerała, pracującego w swoim gabinecie, gdzie pan L* jednę tylko jeszcze osobę zastał, to jest pułkownika Janez, młodego, nadzwyczajnie pięknego mężczyznę, przybocznego adjutanta Santa-Anny.

Kupiec oznajmił jenerałowi swój plan podróży, i oświadczył mu powiernie: iż się obawia napadu rabusiów, przeciw którym, dla zabezpieczenia się w drodze z Mexyku do Vera-kruz, o eskortę uprasza.

„Otwarcie mówiąc,” — ozwał się Santa po niejakim namyśle — „nie radzę panu brać eskorty jeżli wiele kosztownych rzeczy z sobą wieziesz; gdyż nasi dragoni, jak wiadomo, przywłaszczają sobie nieraz teżsame rzeczy, których właśnie obraniać powinni. Mojém zdaniem, byłoby najlepiéj, gdybyś sobie u Vermonta, sławnego siodlarza francuzkiego przy ulicy *Cadennas*, kazał zrobić kufer o podwójném dnie, i tam klejnoty swojéj małżonki przechował, aby w razie napadu zbójców, można otworzyć kufer, i dać im, co się z wierzchu na widoku znajdzie.”

Jakkolwiek ta rada była niepewną, nie można było na niéj niepoprzestać. Po rozmówieniu się o innych okolicznościach podróży, pożegnał pan L* jenerała i zabrał się ku odchodowi; ale gdy już we drzwiach stanął, spojrzał nań przenikliwém okiem pułkownik Janez, który podczas jego rozmowy z Santa-Anną, obojętnie akta wartował.

Stosownie do otrzymanéj rady sprawił sobie kupiec kufer o dnie podwójném u Vermonta, i opuścił w nocy Mexyk, towarzysząc na koniu lektyce, w któréj jego żona i dzieci się znajdowały, podczas gdy kilku *arrieros* prowadziło za niémi muły pakunkiem objuczone. Mała ta karawana stanęła szczęśliwie w Puebla, gdzie się przez całe dwa dni dla wypoczynku zatrzymała, a potém, trzeciego dnia ze świtem, ku olbrzymiemu szczytowi Orizaba ruszyła. Minąwszy i tę okolicę, przybyła na dolinę Acajete, gdzie Santa-Anna tak niegodziwie swojego przyjaciela Mejia rozstrzélać kazał; poczém zkierowała się bez najmniejszego niebezpieczeństwa ku

wądołowi, który przy końcu doliny leży. Ten ciemny, skalisty parów miał nieco podejrzaną słynność, co też kilka białych kamieni z krzyżami smutno potwierdzało. Arrierosowie na pół senni, jak to zazwyczaj jadąc na leniwych mułach bywa, pomrukiwali sobie słowa powszechnie znanéj piosnki *del caballo*:

„*Mi muger é mi caballo*
Se murieron en un tiempo." *)

Ale jakże się nie zdziwiono, gdy nagle jakieś dzikie głosy zaśpiewały zwrotkę uzupełniającą tę piosnkę:

„*Que muger y que demonio,*
El caballo es lo que siento." **)

Nie można było jednak nad tém niespodzianém zdarzeniem długo rozmyślać, gdyż w téjże chwili około dwudziestu rabusiów obskoczyło podróżną karawanę. Pomimo płacz i narzekanie żony, zachował pan L* przytomność umysłu, oddał spokojnie rabusiom klucz od kufra, który już zpomiędzy pakunku wydobyto, i patrzył obojętnie, jak zbójcy łakomie wszystko chwytali, co było w kufrze. W końcu jednak, gdy już ostatki wytrząśnięto, jeden ze zbójców wyjął z widocznie chciwém poruszeniem ostre dłuto, i otworzył niém fałszywe dno kuferka. Z początku na ten widok osłupiał kupiec, ale niedługo wpadł w niewymowną wściekłość i zaczął się opiérać; jednakże nadaremnie, gdyż rabuś błysnął mu ostrzem sztyletu i rzekł spokojnie:

»Bez gniewu, bez gniewu, senor, bardzo proszę! Jeżli ci życie miłe!" Potém obrócił się do pani L*, która ze strachu jak trup blada, tuliła dzieci do siebie, i rzekł: „Nie lękaj się pani; my jesteśmy *caballeros* i znamy należne damom poważanie."

Szlachetni ci rozbójnicy nie chcieli nawet mniej kosztownych brać rzeczy; wzięli tylko klejnoty pani L*, a pomiędzy témi osobliwie piękny sznurek pereł z Kalifornii.

Po tym nieszczęsnym wypadku wrócił pan L* śpiesznie do Mexyku i podał natychmiast doniesienie do sądu instrukcyjnego. Nie podlegało najmniejszéj wątpliwości, iż to był rabunek uprzednio ułożony. Ponieważ tylko dwóch ludzi, to jest: jenerał Santa-Anna i siodlarz Vermont, o podwójném dnie w kufrze wiadomość miało, przeto aresztowano siodlarza, który wszakże natychmiast ze wszelkiego podejrzenia się oczyścił. Jego nieposzlakowana dotąd poczciwość, powszechnie znana rzetelność, wreszcie jego skromne i ciche życie, wszystko to świadczyło o jego niewinności, za którą i to jeszcze niemało mówiło: iż od kilku dni nigdzie z miasta się nie oddalał. Został więc uwolnionym.

Lecz prawdziwego sprawcy rozboju nie wyśledzono. Różne jeszcze o tém w mieście krążyły pogłoski, gdy naraz zaczęto także mówić o jakimś nowym rozboju i zabójstwie, które śród białego dnia w domu szwajcarskiego konzula, pana Maigreta, popełniono. Z początku nie chciano temu dać wiary, gdyż ulica Cosme, przy któréj konzul szwajcarski mieszkał, ozdobiona przepysznym wodociągiem i wychodząca na promenadę Almada, należała do najludniejszych ulic Mexyku.

A przecież byłoto istotną prawdą. Mordercy wpadli do mieszkania pana Maigreta bocznémi drzwiami, związali służącę, zatkali jéj usta i przymocowawszy ją do stołu, rzucili się na konsula, który na powstały tupot i stuk z swego pokoju wybiegał. Chociaż niespodzianie opadnięty, bronił się do upadłego i dopiéro po długiéj, okropnéj walce, uległ przemocy. — Znaleziono mocne cięcie na jednéj skroni i dwie głębokie rany pod sercem. Prócz tego wywinięto z martwéj, silnie ściśniętéj dłoni trupa, guzik mosiężny, u którego płateczek niebieskiego sukna się pozostał.

To mogło przy śledztwie posłużyć za poszlakę; ztémwszystkiém nadaremnie wszędzie szukano, i jużby prawie wszelkie dalsze badania były zaniechane zostały, gdyby nie panowie Deffaudis i Pockenham, którzy w imieniu całego dyplomatycznego ciała się upomnieli, aby śledztwo silniéj poparte było. To sprawiło, iż pilniéj w tę rzecz wglądniono. W skutek dalszych poszukiwań padło podejrzenie na pewnego żołnierza z czwartego pułku dragonów, który bywszy przedtém ubogim i jedynie na swój szczupły żołd ograniczonym, teraz zaczął naraz prowadzić rozrzutne życie, a niemógł dostatecznie wykazać, zkąd jego majątkowe środki pochodzą.

Przedsięwzięto więc tajne śledztwo, przez które to podejrzenie w pewność się zamieniło, gdyż znaleziono u niego cywilną, niebieską suknią, u któréj brakowało guzika. Porównawszy tę suknią z guzikiem i kawałeczkiem sukna, które z dłoni zamordowanego wyjęto, przekonano się najniezawodniéj, iż ten guzik do téj sukni należał.

Tak więc zaniedbał morderca, jak się to zwykle zdarza, zniszczyć ostatnią poszlakę, która go zdradzić mogła.

Wykrycie wielu innych jeszcze okoliczności, nadało zaniesionemu przeciw niemu zaskarzeniu takiéj wagi, iż na ostatku niemógł już wcale zaprzeczać. Mimo to jednak nie zdołał sędzia przywieść go do wyznania szczegółowych wypadków, gdyż on zawsze był téj nadziei, że pewna tajemnicza ale można osoba, od kary go ochroni; i przeto nie chciał żadną miarą współwinowajców wymienić.

Sądownictwo karne w Mexyku nie czyni zwłoki. Wydano wkrótce wyrok, a na drugi dzień po tegoż ogłoszeniu, przechodził orszak żałobny przez ulicę

---

*) Mój rumak i moja żona, pomarli w jednym czasie.
**) Mniejsza o żonę, rumaka większa szkoda.

San Cosme i zatrzymał się przed domem, w którym mord spełniono. Boso, z ogoloną głową, obok mnicha franciszkańskiego zakonu, szedł morderca, trzymając gromnicę w ręce, a stanąwszy przed domostwem, musiał klęcząc na progu, kościelną pokutę czynić. Po odprawieniu aktu skruchy, ruszył orszak w dalszy pochód przez miasto. Niektórzy spostrzegli, iż skazany jakiegoś znaku porozumienia zpomiędzy ludu wyglądał; lecz zawiedziony w swojém oczekiwaniu, zmarszczył brwi ponuro, i zaciął wargi ze złości. Byłato jedyna oburzenia oznaka, któréj można było po nim dostrzedz; gdyż namiętni ludzie tych okolic, gardzą zazwyczaj życiem; i jak bez litości innych mordują, tak też sami bez żalu umiérają.

Chociaż Antonio wojskowo służył, nie skazano go przecież na zaszczytniejszą karę rozstrzelania, ponieważ rabunku się dopuścił. Wyrok jego opiewał: śmierć przez *garotte.*

Garotte mają za mniej okrutny rodzaj śmierci, podobnie jak gilotynę. Jestto rusztowanie, mające dwanaście stóp wysokości. Na środku tegoż stoi krzesło, opierające się o niewysoki pal, przy którym otwarta żelazna obróżka wisi. Stojący za krzesłem kat, kładzie winowajcy obróżkę na szyję, zamyka ją jaknajprędzéj, i zakręca silnie śrubę, która w okamgnieniu sprawia śmierć skazanego. W téj saméj chwili zasłona spada i zakrywa ludowi widok ostatnich chwil nieszczęśliwego.

Stanąwszy u rusztowania, spojrzał winowajca nanowo po zgromadzonym tłumie, a potém wstrząsnąwszy głową jak człowiek, który z ostatnim promykiem nadziei, ostatniego téż zbywa się namysłu; po wszelkiém zwątpieniu, obrócił się do oficera algazilów i rzekł wyraźnym, donośnym głosem:

»Senor, słuchaj uważnie co powiém: głównym moim spółwinowajcą, naczelnikiem bandy, do któréj należałem, jest pułkownik Janez, adjutant jenerała Santa-Anna.«

To nagłe zeznanie sprawiło tyleż zdziwienia ile niedowierzania. Bo i jakże w istocie uwierzyć, aby najprzystojniejszy oficer w Mexyku, poufny przyjaciel jenerała-prezesa, kochanek jego siostry Dolores, miał być hersztem rabusiów. Ztémwszystkiém, jakkolwiek nieprawdopodobnem zdawało się być to zeznanie, musiał sąd dochodzić prawdy. Odłożono tedy stracenie Antonia. Gubernator miasta, hrabia Joze de la Cortina, dał rozkaz pułkownikowi Olozaga, aby się udał natychmiast do mieszkania adjutanta Janeza. Przedsięwzięte z tego powodu śledztwo naprowadziło na różne, ważne odkrycia: znaleziono jakąś tajemniczą, cyframi pisaną korespondencyję, wiele klejnotów i kosztowności, z których większa część należała, jak się to późniéj okazało, zrabowanemu kupcowi. Tegoż samego dnia został pułkownik Janez przy wyjściu z pałacu rządowego przytrzymanym i uwięzionym.

Tak się właśnie rzecz miała, gdy jakaś z zasłoniętą twarzą dama do sędziego instrukcyjnego przyszła. Cokolwiek tylko łzy, błagania i najgorętsza wymowa wymódz zdołają, tego wszystkiego użyła w chęci ujęcia sędziego dla Janeza i skłonienia go do zniszczenia świadczących przeciw niemu dowodów. Gorliwa obronicielka posunęła nawet tak dalece naleganie, iż ofiarowała sędziemu 30.000 piastrów; ale pułkownik Olozaga odmówił z oburzeniem takiemu oświadczeniu, chociaż po miłym głosie przyjaciółki Janeza, bardzo dokładnie siostrę jenerała-prezesa, senorę Donnę Dolores poznał.

Nie minęło dni kilka, już pułkownik Olozaga przy śniadaniu śród gwałtownych boleści nagle życie zakończył, co wezwani lekarze za otrucie uznali.

Na tém zakończyła się zbrodnia, lecz nie intrygi tajemne. Sekretarz zmarłego pułkownika Olozaga, uwiedziony przekupstwem 600 uncyjów złota, zezwolił na zatajenie dokumentów, ktore winy Janeza dowodziły. Zaledwie to jednak uczynił, już doznał dojmujących zgryzot sumienia, i wyznał wszystko swemu spowiednikowi.

Kapłan nie chciał mu dać potąd rozgrzeszenia, pokąd ukrytych dokumentów nie wróci, a zastraszony tém sekretarz, dopełnił rozkazu spowiednika, niemogąc wszakże wrócić otrzymanego złota, gdyż tajemniczy dawca, był mu zupełnie niewiadomy.

Drugi sędzia, pułkownik José Calvo, któremu po śmierci Olozagi sprawę tę poruczono, był znany powszechnie jako śmiały, rycerski człowiek i prawdziwy Hiszpan. Urodzony w Hawanie, służył najprzód na téj wyspie i odznaczył się wielokrotnie w prowadzonéj tam wojnie. Dostawszy się w francuzką niewolę, doznał jaknajochronniejszego obejścia się od francuzów i dlatego zachował żywą dla nich wdzięczność. Teraz będąc mianowanym sędzią w sprawie, dotykającéj tak blisko ministra francuzkiego, barona Deffaudis, do którego obrona szwajcarskich obywateli w Mexyku należała, chciał gorliwém poparciem śledztwa całemu dyplomatycznemu ciału okazać, że i w Mexyku sprawiedliwość jest podstawą bezpieczeństwa.

Wiedział on dobrze jak niebezpiecznem jest jego położenie w téj sprawie. Lubo Santa-Anna podług swojéj zwykłéj chytrości, i teraz co do biegu procesu zupełną bezstronność okazywał, nie zapominał Calvo, iż Janez był jego adjutantem i przyjacielem. Nie uszło téż uwagi jego, co jenerał Valencia, komendant departamentu, w kilka chwil po spełnionem zabójstwie, na wiadomość o schronieniu się morderców do jakiejś szynkowni na przedmieściu, powiedział: »*Que los dejen, los pobrecitos.*« *) Przytém nie było bez tego, aby mu los jego poprzednika, którego szklanką czokolady otruto, niepokojących myśli nie nasuwał.

Co do Janeza, temu, jak zawsze na wolności, tak też i teraz w więzieniu równie dobrze się wiodło. Otrzymywał wiele dowodów współczucia nad swoim losem, a nazajutrz, zaraz po jego uwięzieniu, doręczył mu nadzorca więzienia małą karteczkę, na któréj kobiécą ręką te słowa były napisane: »Odwaga, miłość, nadzieja. Prócz tego dowiedział się tymże samym tajemniczym sposobem, iż papiéry, które oskarżać go mogły, usunięto i zapewne zniszczono. W braku tych dokumentów mogło tylko wyznanie samego Antonia przeciw niemu świadczyć. Lecz Janez ani wątpił, iż na widok swojego byłego pułkownika, Antonio inaczéj się namyśli. Bo cóżby na tém zyskał, wtrącając go razem z sobą w nieszczęście.

To przekonanie zachowało Janeza przy niezachwianéj determinacyi, i nigdy może nie okazał jeszcze w swych odpowiedziach tyle pewności, jak w dzień posłuchania u sądu.

Zaledwie na ławce oskarzonych usiadł, zaraz wprowadzono Antonia wraz z sześciu innémi, których późniéj uwięziono. Bądź wskutek uprzednio umyślonego, bądź istotnie mimowolnego wstrętu, odwrócił się Janez od współoskarzonych, i spojrzał okiem tak groźnéj wzgardy na Antonia, iż ten zmieszawszy się, to blednieć to rumienić się zaczął, a wreszcie zapytany

*) Dać pokój tym biedakom.

przez sędziego, uderzył pięścią o szranki, i rzekł stanowczo:

»Nic nie powiem. Macie mię, zabijcie mię, lecz niczego się nie dowiecie.«

Janez już się miał za ocalonego. Nie wiedział bowiem, iż znalezione w jego domu papiery, znowu wydobyto. Obstawał tedy przy swojéj niewinności; a gdy mu pułkownik Calvo szkaradność jego zbrodni dowodził, i herszłem go bandy zbójeckiéj nazwał, odpowiedział nato obojętnym uśmiechem.

Tu mu sędzia przedłożył dowody. Ten niespodziany obrót, jakby grom poraził Janeza. Początkowe zwątpienie, które już było sędziów po części ogarnęło, ustąpiło teraz mocnemu przekonaniu. Sąd wojenny skazał Janeza, wraz z jego siedmiu towarzyszami na karę śmierci. W téjże chwili wydarł się okropny krzyk z jakiéjś kobiecéj piersi. Lecz Janez zachował zwykłą spokojność duszy.

»Ludzie wydali wyrok, lecz Bóg uzna niewinność.« To rzekłszy powstał i ukłonił się sędziom.

Na trzeci dzień cisnęło się niezliczone mnóstwo ludu, złożone z Leperos i Indyjanów, od świtu na dolinę rozlegającą się w obliczu placów Acordada i Paseo Nuevo, na któréj teraz narzędzia śmierci poustawiano. Po prawéj ręce rusztowania wznosił się ołtarz. Wszystkie prawie balkony przyległych ulic były napełnione ustrojonemi damami, pomiędzy któremi, po rzadkich wdziękach i nadzwyczajnéj bladości, łatwo było poznać Donnę Dolores.

Wkrótce pojawił się orszak algazilów, przybranych w czarne suknie, ciężkiémi muszkietami uzbrojonych, postępujących przed gronem mnichów, którzy mają obowiązek towarzyszenia skazanym na śmierć winowajcom. Przy Antoniu i innych jego spólnikach, szedł stary, bosy, sznurem obwiązany kapucyn, modląc się do krzyża, jaki także każdy winowajca miał w ręku. Janez wyszedłszy z więzienia na śmierć, zemdlał był kilkakrotnie, a przeto wsadzono go na osła, na którym pomocnik kata go trzymał.

Gdy Dolores ten okropny orszak ujrzała, wzdrygnęła się okropnie, i przechyliwszy się przez poręcz balkonu, wpatrzyła się chciwie w oblicze nieszczęśliwego kochanka, a potém rzekła z dziką radością:

»Nie, Janezie, nie! Nie dostanie cię kat żywego!«

Po tych słowach dobyła sztyletu i podniosła rękę, w zamiarze zadania sobie śmierci, lecz jéj małżonek, surowy, poważny Hiszpan, który tuż stał za nią, i na jéj poruszenia uważał, wstrzymał jéj rękę, i odebrawszy sztylet, rzekł:

»Możesz pani żyć teraz — bo jéj kochanek już zginął.«

Janez, nim go na śmierć wyprowadzono, został tegoż samego dnia rano, szklanką wina otruty, a to wskutek owéj indyjskiéj trucizny, która na oznaczony czas zabija. Było to ostatni dowód miłości Donny Dolores. Skutkował zaś tak prędko, że Janez już był trupem, gdy go na rusztowanie niesiono.

Przyszła tedy kolej na Antonia, który z niesłychaną obojętnością sam głowę w śmiertelną obróżkę włożył.

Powiadają, iż jenerał Santa-Anna, naśladując Ludwika XIII, wskazał jenerałowi Valencia okryte chmurami niebo i rzekł: »Żal mi tego Janeza, w niedobry czas na tamten świat się wybrał.«

Donna Dolores otrzymała później pozwolenie od arcybiskupa, aby ciało jéj kochanka w ogrodzie klasztoru świętego Franciszka pochowano.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 14ty i zawiera: 1) Czy się u nas chów bydła wypłaci bez letnich pastwisk? Dokończenie. 2) O sztucznem nawodnieniu łąk i pastwisk, tudzież o mieszaniu zielonéj paszy i zielonego nawozu. 3) O karmieniu pszczół i połączeniu słabych ulów. 4) O dojeniu krów. 5) O łataniu galoszy gumielastycznych. 6) Sposób prędkiego utuczenia gęsi, aby miały wielką wątrobę. 7) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 8my i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Szkic z pobytu w Karlsbadzie i Marienbadzie. Dokończenie. 2) Pamięci Józefa Borkowskiego, przez Kornela Ujejskiego. 3) Pawłokokeizm w Anglii. Ciąg dalszy. 4) Teatr.

Białoruś czyli dawniéj województwa połockie, mińskie, witepskie, mścisławskie, jest jedną z najmniéj znanych a oraz najosobliwszych stron Polski. Żywą téż wdzięczność czujemy dla pana Barszczewskiego, który nam te okolice w swojém dziele: »Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych obrazach,« tak zajmująco skréślił. Za wstęp do tego dzieła służy następujący opis północnéj Białorusi: »Podróżujący z północy ku białoruskim stronom widzi przed sobą ogromne wsie nakształt miasteczek murowane, bielejące się kościołki i kamienice dworów, obszerne zasiane pola, tu i owdzie małe gaiki sosnowe lub brzozowe, słyszy nieraz rozciągły i głośny śpiew wieśniaka, przez pola daleko sięgający, lub przelatujący góry i doliny melodyją pasterskiego rożka. W dni niedzielne, z wieczora, wiejskie dziewczęta w perkalowych a niekiedy i jedwabnych szarafanach, w assystencyi zalotnych młodzieńców odbywają korowody, śpiewając narodowe pieśni, a starcy siedząc na przyzbach rozprawiają o dawnych czasach i teraźniejszych. — Lecz gdy się zbliża ku granicom Siebieża i Newla, ogląda przed sobą rozległe ciemne bory, nakształt chmur wiszących na widokręgu; między lasami słomiane dachy ubogich mieszkańców; gdzieniegdzie wzrok jego spotyka sterczący między sosnami krzyż żelazny nad jaką mchem pokrytą kapliczką, przed drzwiami któréj na dwóch sosnowych słupach, wiszą dwa lub trzy dzwony; po okolicy rozsiane mogilne krzyże i kamienie. Rzadko się tam spotyka pański dom porządnie wybudowany; niewiele i kościołów takich, gdzieby można widzieć gust architekta, lub koszt możnego fundatora, — a ten widok posępny i dziki, zaczynając się od rzeki Łować, sięga do brzegów Dźwiny, gdzie się kończy Płota i Drysa. — Po całéj téj przestrzeni wązkie kamieniste drogi przerzynają górzyste miejsca i mijając dzikie brzegi jezior, kryją się w borach. W ubogich wioskach i w dnie święte i powszednie zawsze panuje jakaś ponura cichość; rzadko odezwie się pieśń żniwiarza lub oracza, a i w tem nuceniu łatwo rozeznać można jego stroskane myśli, bo tu nieurodzaj omyla często nadzieje kmiotka.« — Równie malownicze jest opisanie białego domku pana Zawalni, wśród drzew nad jeziorem Nieszczerdą, zamarzłem w téj chwili. Zbłąkanym po ogromném jeziorze i śniegiem zawianym podróżnym na saniach, przyświéca zdaleka światełko z okna gościnnego dworku, w którym nocleg wygodny znajdą, ale pod warunkiem, że staruszkowi gospodarzowi jakie podanie narodowe wieczorem do poduszki opowiedzą. Nasłuchał się ich do woli autor, synowiec pana Zawalni, pewnéj listopadowéj nocy i te

właśnie, pod tytułami: »O czarnoksiężniku i żmii« — »Zuchwałe postępki« — »Korona węża« — »Wilkołak«, stanowią pierwszy tomik powieści, których pięć jeszcze dalszych mamy przyrzeczonych od autora. Prędkoż inne równie mało znane krainy polskie, jak naprzykład Pokucie, Podole, Podlasie — podobnych znajdą malarzy? —

Najszczérsze powitanie. »Stefan Czarnecki otrzymał pod Brześciem lit. i nad rzeką Basią dwie wielkie wiktoryje nad Moskwą i miał króla witać w senacie. Choć zaś nie był hetmanem, chciał jednak król, aby mu *in facie* — w obliczu — rzeczypospolitéj podziękował pieczętarz koronny Wyżga. Przygotował się tedy wezwany, aleć nagle Czarnecki ze trzema set towarzystwa wchodzi i każdy z nich zdobyczną chorągiew w ręku, a sam wódz wielką carską haftowaną złotem niesie, wszystkie królowi pod nogi rzucając, zarzucili niemal i tron królewski. Ta niespodziana forma i akcyja pomieszała Wyżdze ułożoną przemowę, ale on zaraz *ex tempore* do Czarneckiego zaczął: »Z woli jego król. mości miałem pokazać rzeczypospolitéj wizerunek twych akcyj i pobudzić ją do wdzięczności za te wielkie wiktoryje — aleś sobie sam winien, kiedyś mnogością zdobytych chorągwi zarzucił tron królewski, i wielkością twoich wiktoryj nie dajesz widzieć ani pana, ani mnie od niego mówiącego.« Potem padł mowca w ramiona Czarneckiego i uścisnął go szczerze, a ta delikatna i nowa pochwały forma wielkie w senacie plausum miała.«

Osy Alfonsa Karr zawiérają pomiędzy innemi trafnemi postrzeżeniami nad tegoczesnym stanem Francyi, także następujące uwagi: »Kogoż nie rozczuli łagodność nowożytnej sprawiedliwości francuzkiéj, która nié ma serca, aby nawet najwierutniejszym łotrom jakąkolwiek nieprzyjemność wyrządzić. W departamencie *Vauciuse* zdarzyło się iż pewna białogłowa rok po roku troje swoich nowonarodzonych dzieci żywcem zakopywała: — Sąd sprzysięgłych uznał ją wprawdzie winną, lecz przypuścił łagodzące okoliczności. — Inna osoba téjże samej płci pięknéj, upatrzyła chwilę gdy jéj mąż, będący mularzem, pracował w studni, i zarzuciła go na śmierć kamieniami. Trzecia zacna niewiasta otruła troje pasierbów; a ponieważ biedne dzieci zrazu podanej sobie zatrutéj potrawy jeść nie chciały, tedy biła je macocha — podług zeznania jednego ocalonego dziecka — dopóty, aż póki sieroty nie wypróżniły talerzy. I w tym razie sąd przysięgłych znalazł łagodzące okoliczności. Jestto istotnie wołającą do nieba o zemstę niesłuszność — iż panowie zabójcy i rabusie nie naśladują filantropii sądu przysięgłych. Od kiedy zabójstwo małoco drożéj od prostéj kradzieży karanem bywa, idą prawie sami tylko uczciwi ludzie pod gilotynę. — Inaczéj postępują sobie dyrekcyje kolei żelaznych, które wcale nie są tak filantropijnémi jak sądy przysięgłych. U tych — kto nie jest wstanie zapłacić za miejsce o pięć franków drożéj, bywa, bez przypuszczenia łagodzących okoliczności, wtrąconym do otwartego wagonu; jakoż niedawno temu, sprzątnęła nagła śmierć jakiegoś nieboraka, który przybywszy spocony z pracy, zginął bez ratunku od mroźnego, a przytém jeszcze pędem wagonu wzmocnionego wiatru z północy.

Opowiadka. Jeden z cukierników lwowskich miał témi czasy chłopca do usług w sklepie, łakotnisia piérwszego rzędu, któremu ciasta, konfitury a nadewszystko pierożki były nieposkromioną pokusą z krzywdą pryncypała. Jakoż ten widząc co chwila znikające kosztowne słodycze, a niechcąc odpędzić malca zresztą usłużnego, po długim namyśle, usmażywszy kilka słojów z droższemi konfiturami, wziął się na sposoby. Słoje ustawił jak można było najwyżéj a chłopca — którego pojęcie było płytsze od żołądka — napomniał surowo: że w nich okropna, straszna, zabijająca zawiéra się trucizna, i dla tego, ula przestrogi, czarne mają przykrywki. Chłopiec uwierzył święcie słowom pana i zjadając co mógł zchwycić z niższych pułek, spoglądał ze strachem i uszanowaniem na pułki wyższe. Lecz któż się przy najlepszéj woli ustrzeże przypadku! Kucharka znając gust pana, chcąc mu się przypochlebić, kupiła prosię, i czysto oprawione, wsadza na rożen. Gdy już było blizkie upieczenia, chcąc przyśpieszyć nakrycie stołu, u którego już pan zasiadł oczekując ulubionego specyjału, powierzyła chłopcu obracanie rożna. Ten w niewinności ducha kręci a kręci, aż go nareszcie woń rumieniejącéj się skórki zaleci, i coraz bardziéj na pokuszenie wieść zaczyna, zwłaszcza iż słyszał, że skórka od prosięcia jest najsmaczniejsza ze wszystkich łakoci na świecie. Nie mogąc się oprzéć drażniącéj nagabie, wyciągnął dwa palce, i skubnąwszy — urwał ogonek, i zjadł go z niewysłowioną roskoszą. Teraz rzeczywistość przeszła jego oczekiwanie, smakowność się podwoiła; skubnął więc raz drugi i trzeci, pewny, że ogień jak piérwszą, tak i drugą zarumieni skórkę. Skubał więc coraz daléj i coraz więcéj blizn zadawał prosięciu, które nie mogąc się zrumienić, już czernieć zaczęło. Wtém wbiega kucharka, a ujrzawszy zgrozę, uderza w dłonie, i krzyczy co może: »Nieszczęsny — cóżeś ty zrobił — przepadłeś — i ja z tobą!« To rzekłszy porywa rożen z prosięciem i bieży na skargę do pana. Chłopiec obawiając się chłosty oddaje się rozpaczy. Drży, kręci się, i nie wie co począć. Nareszcie staje i pyta się w duchu: »Być bitym albo nie być bitym? Żyć albo nie żyć!« Nie żyć, wypadło po krótkim namyśle, i z tém przedsięwzięciem wymknął się z kuchni. Cukiernik tymczasem dowiedziawszy się o smutnym losie prosięcia, spalonego jak heretyk na węgiel, chwyciwszy za cybuch, jął szukać winowajcy. Chłopiec zaléwając się rzewnemi łzami, siedział jak śmierć blady w kącie na wschodach. Rozgniewany pan przydybuje go i podnosi uzbrojoną rękę, lecz malec łkając zawoła coprędzej głosem grobowym: »Ej, na co mnie już bić, ja i tak już umiéram — ja się otrułem!« Cybuch wypada z ręki rozgniewanego a włosy powstają mu na głowie: »Czem się otrułeś nieszczęsny?« zawoła. »Ach,« — trzymając się za brzuch — wyjęknął chłopiec — »zjadłem dwa słoje z piątéj półki!« — »A bodajżeś był.....! Moje Ananasy!« krzyknął cukiernik wziąwszy się za głowę. Lecz po chwili udobruchany śmiertelną trwogą chłopca — zaczął się śmiać i wywiódł umierającego z błędu. Jednakże przez kilka dni musiał samobójcę leczyć na niestrawność.

Do dzisiejszego numeru Rozmaitości dołączamy 1¼ arkusza Dodatku nadzwyczajnego, pod napisem: „Źródło szczęścia jest w nas samych", przez Juliję Goczałkowską.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.